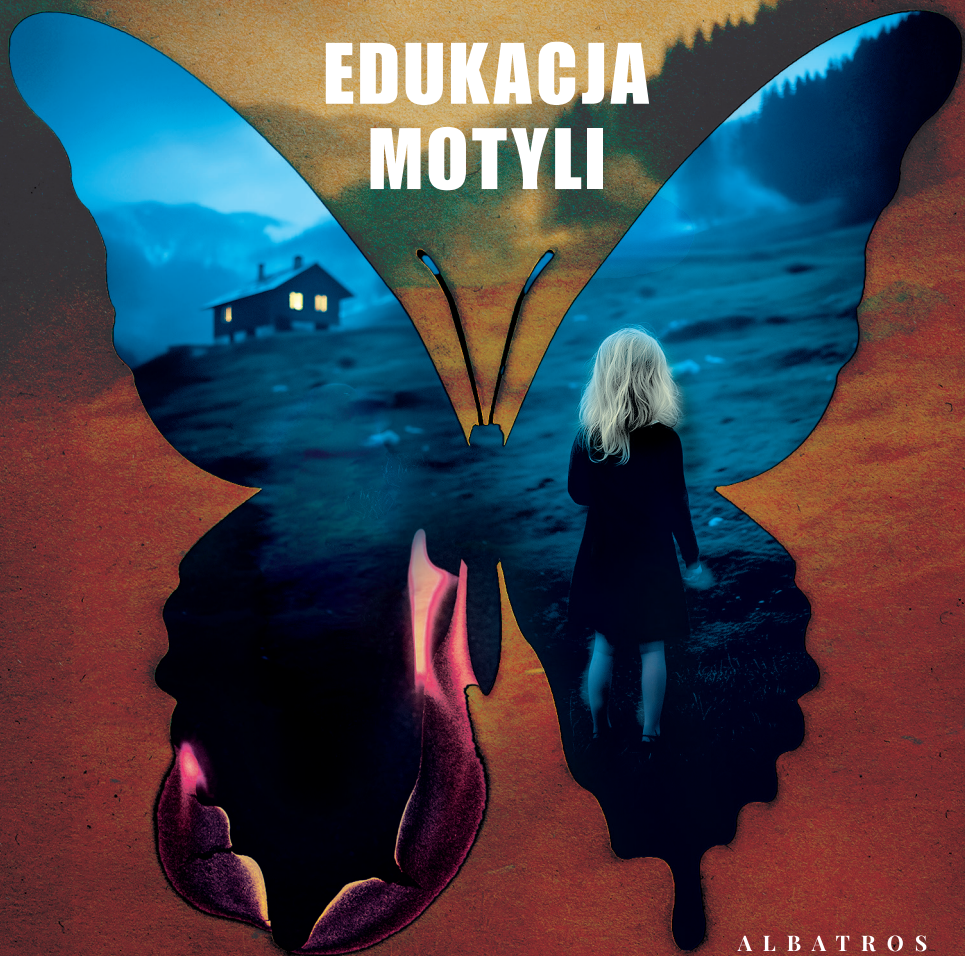


NAJPOPULARNIEJSZY NA ŚWIECIE
AUTOR WŁOSKICH THRILLERÓW

DONATO CARRISI

EDUKACJA
MOTYLI



ALBATROS

Tytuł oryginału:
L'EDUCAZIONE DELLE FARFALLE

Copyright © Donato Carrisi 2023
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2025

Polish translation copyright © Anna Osmólska-Mętrak 2025

Redakcja: Marzena Wasilewska

Projekt graficzny okładki: Kasia Mieszka / Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Ilustracje na okładce: © Reilika Landen / Arcangel Images

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
e-mail: kontakt@wydawnictwoalbatros.com
wydawnictwoalbatros.com



ALBATROS

Drewniany dom płonie w nocnym mroku. Niczym mały, roziskrzony wulkan pośrodku doliny.

Połykujące jęzory wystrzeliwują na czarnym niebie pośród majestatycznych gór. Płomienie popisują się swoim dzikim pięknem. Barwiąc czerwienią biały śnieg, na zawsze pozbawiają krajobraz jego czystej niewinności. Ktoś uwolnił je z ich tajemnego więzienia i teraz odbierają sobie siłą należne im w przyrodzie miejsce. By udowodnić swoją potęgę, wybrały drewniany pensjonat, a on poddaje się im, pokonany.

Wśród wszechogarniającej ciszy słychać tylko trzask ognia.

Kiedy dzwony małego alpejskiego miasteczka zaczynają bić na alarm, wzywając pomoc, trzypiętrowa konstrukcja ze spadzistym dachem znajduje się już całkowicie w objęciach płomieni. Niczym żywa jeszcze po schwytaniu ofiara, dom od czasu do czasu próbuje się wyrwać, ale drapieżca już go pożera i wszelkie wysiłki są daremne.

Tymczasem z różnych stron docierają ożywione głosy. Płomienie reagują gniewnie, rzucając wyzwanie każdemu, kto ośmieli się je powstrzymać. Ratownikom nie pozostanie nic innego, jak poddać się lękowi, a jednocześnie fascynującemu widoku zniszczenia. Gdyby nie było to tak zatrważające, byłoby przepiękne.

W środku tego małego piekła widać rząd odcisniętych w świeżym śniegu śladów bosych stópek.

Przemarznięte sześcioletnie dziewczynki w koszulach nocnych, zmoczone wodą z urządzenia przeciwpożarowego, zostały zgromadzone w bezpiecznej odległości. Ich twarze są zakryte maskami z sadzy, pobrużdżonymi od łez; we włosach połyskują dziwne, srebrzyste nitki. Wyglądają jak małe czarodziejki odprawiające jakiś magiczny rytuał wokół wielkiego ogniska. Mają szeroko wytrzeszczone oczy, ich oddechy gęstnieją w nocnym mrozie. Tulą się do siebie, wystraszone, ale ocalałe.

Nie są same. Czuwają nad nimi trzy opiekunki odpowiedzialne za ich zdrowie i bezpieczeństwo.

Miał się zacząć ostatni dzień ferii w zachwycającym miejscu: godzin przedpołudniowych spędzanych na lekcjach jazdy na nartach i łyżwach, zjeżdżaniu na sankach, popołudni wypełnionych grą w Monopoly, Pictionary albo Wesołego Chirurga i wieczorów z filiżanką gorącej czekolady i bajkami na dobranoc przed dużym kominkiem. Jeszcze kilka godzin i dziewczynki miały wrócić do swoich rodzin ze świeżą opalenizną i całą masą fantastycznych doświadczeń do opowiedzenia.

Wrócą, ale nie będą już takie same.

Po tej nocy każde wspomnienie minionego tygodnia będzie inne. Każde wspomnienie będzie cuchnęło dymem i spływającym po nogach ciepłym moczem. Będzie trzeszczało jak goniące cię płomienie, chichoczące za twoimi plecami. Będzie miało gorzki posmak strachu. Ten smak ukryje się w zakamarkach pamięci dziewczynek i będą go czuć w ustach także wtedy, gdy dorosną, za każdym razem, kiedy instynktownie wyczują sytuację zagrożenia.

Również trzem opiekunkom trudno będzie pozbyć się sprzed oczu tej sceny. W tym momencie dwie z nich nie są nawet w stanie mrugnąć, a trzecia biega nieustannie od jednej dziewczynki do drugiej. Liczy je szeptem. Po chwili powtarza tę czynność.

Dla pewności. Nie myśli jeszcze o imionach. Z imionami łatwiej się pomylić. Żeby więc niczego nie pomieszać, przypisuje im numery. Jedna, druga, trzecia i tak dalej. Kładzie kolejno dłoń na każdej głowce, jakby to był chrzest.

W głębi serca kobieta wciąż ma nadzieję, że ostateczna liczba ulegnie zmianie. Ale pozostaje taka sama. Wystraszona, zaczyna od nowa.

Nie jest ich tylko jedenaście, nie jest ich tylko jedenaście, powtarza w duchu. Nawet nie patrzy na twarze dziewczynek, by nie być zmuszoną do ich rozpoznania.

Gdyby to zrobiła, musiałaby też pomyśleć o imieniu brakującej dziewczynki. Dwunastej.

A nie chce jeszcze znać tego imienia. Nie jest na to gotowa. Więc uporczywie wywołuje numery. Gdy jednak zawierzy się matematyce, trudno się pomylić.

Odliczająca opiekunka stoi plecami do pensjonatu, który tymczasem całkowicie zniknął wśród płomieni. Kobieta nie może tego wiedzieć, ale nie widać już nawet czubka dachu. Jest jedyną osobą pośród ciekawskich i ratowników, której nie zahipnotyzowała rozgrywająca się scena.

Nie ma odwagi spojrzeć.

Ale złowieszczy hałas zmusza ją nagle do odwrócenia się. Przerazający świst, nieoczekiwany, bolesny. Niczym ostatni jęk osuwającego się olbrzyma.

W jednej chwili wszystko się zawala.

Dom pośród gór znika, jakby pochłonięty przez kipiące odmęty ziemi. Niszczycielski ogień żegna się ze swoją publicznością ostatnim, okrutnym i zachwycającym zjawiskiem. W rozgwieżdzone niebo unosi się miriada złocistych iskieł.

ŻYCIE PRZED

1

Szklane miasto jawiło się niczym miraż pośród rozległej równiny. Tak zobaczyła je przez okno samolotu za pierwszym razem, kiedy tu przybyła. Rozedrgane kryształowe wieże w rozrzedzonym powietrzu. Słoneczny blask rozświetlający stalowe konstrukcje. Odbijające się w budynkach niebo.

Od tamtej chwili Serena właśnie w taki sposób widziała miejsce, które wybrała do życia. Mediolan był wielką katedrą luster.

Przeniosła się tam zaraz po ukończeniu studiów z finansów przedsiębiorstwa na Hult. Londyn, pewnie zbyt oczywisty dla brokerki, nigdy nie był jej idealną przestrzenią. Natomiast Mediolan okazał się odpowiedni dla jej stanu ducha.

Miejsce Sereny było na wysokości. Nigdy nie zamierzała już zejść na ziemię. Miasto pośród chmur stanowiło doskonałą alegorię jej ambicji.

Jej biuro mieściło się na dwudziestym trzecim piętrze drapacza chmur, mieszkanie na dziewiętnastym innego wieżowca. Niezależnie od panoramy, jaką można było podziwiać z góry, w mieście pośród chmur żyło się szybko i dlatego trzeba było być zawsze na bieżąco z biegiem spraw, nie tylko w świecie interesów. Pozostawanie w tyle wiązało się z ryzykiem nieuchronnego wypadnięcia z trasy.

Na dół schodziło się zazwyczaj tylko po to, by się przemieścić albo zrobić zakupy w butikach w Quadrilatero, skosztować

eksperymentalnej kuchni w jakiejś nowej restauracji, pójść na drinka do modnego baru lub na spektakl do La Scali. Mieszkańcy miasta pośród chmur byli próżni i świadomi swojej lekkości. Kto nie jest lekki, nie może latać. Choć żyli niczym pogańskie bóstwa, nie mieli nic wspólnego z duchowością. Ich guru byli szef kuchni i barman. Jedynym doradcą – trener osobisty. Pozbyli się myśli o życiu wiecznym, a w zamian dostali obietnicę natychmiastowej i pewnej przyjemności. Ulotnego szczęścia, wobec którego nie musieli czuć się ani dłużni, ani winni.

Taki doskonały model egzystencji reprezentowała Serena aż do tamtego czerwcowego popołudnia. Ale teraz wszystko – cała ta pewność – mogło runąć. Wszystko wydawało się niedoskonałe, a przynajmniej niewłaściwe dla niej.

Poczynając od tej aseptycznej przychodni lekarskiej.

Niewiarygodny błękit otaczających ją ścian. Plakaty z anonimowymi pejzażami, powieszone bez żadnego estetycznego zamysłu, po to tylko, by zappełnić pustą przestrzeń. Nad jej głową neonowa lampa, zapalona również w dzień. Kozetka, na której siedziała ze zwisającymi nogami. Szorstki papier pod pośladkami. Chude stopy wsunięte w idiotyczne klapki z różowego plastiku, tak szerokie, że palce wystawały z nich na zewnątrz i zdawało się, że za chwilę jeden po drugim spadną na podłogę pokrytą linoleum. Śmieszny fartuch w kwiatki, na który musiała zamienić swoje markowe ubrania.

Wszystko było tu najwyraźniej pomyłone. A może to Serena była nie na miejscu. Może po prostu nie powinna była się tam znaleźć. Tak, właśnie tak.

Najbardziej niewybaczalnym elementem w tym obcym otoczeniu było jednak okno wychodzące na wewnętrzny dziedziniec budynku. Stały tam pojemniki na odpady komunalne, a obok nich zasilacze urządzeń klimatyzacyjnych, połączone z pnącą się aż na dach metalową instalacją, która wydawała z siebie nieustanny szmer, przenikliwy i nieznośny. Za jedynym mu-

rowanym ogrodzeniem można było dostrzec ruch samochodów i przechodniów.

Dla Sereny wszystko to było nowością. Twarze ludzi idących ulicą albo wsiadających do tramwaju, ich niedobre stroje, sposób zachowania, wzajemnego odnoszenia się do siebie. Jakby należeli do innego czasu, innej planety.

A kiedy zajrzało się przez okna pobliskich mieszkań, widoki też były dziwne. W pustych pomieszczeniach oczekujących na powrót lokatorów, w stanie spokojnego bezruchu znajdowały się przedmioty, których Serena nigdy by nie kupiła. A jednak ktoś to zrobił i było to dla niej zaskakujące. Lampa z podobizną Marilyn Monroe. Meble w stylu shabby chic. Figurki zwierząt ze sztucznego kryształu. Te rzeczy nie były po prostu kiczowate – były obiektywnie brzydkie. I nie dało się ich uznać za owoc błędu w ocenie czy złego gustu.

Za każdym z tych przedmiotów kryła się cała seria pomyślnych wyborów życiowych.

W jednej z kuchni Serena zobaczyła młodą kobietę, prawdopodobnie w jej wieku. Ten szczegół wystarczył, by nastąpiło coś w rodzaju utożsamienia. Już samo to, że kobieta nie jest w pracy i poświęca się zajęciom domowym, zdjęło Serenę grozą. A może właśnie na tym polegała praca tej kobiety i to nie było jej mieszkanie. Ta myśl również była nieprzyjemna. Co ja tutaj robię? – zastanawiała się Serena. Zdała sobie sprawę, że nigdy nie przyglądała się miastu z dołu. Nie podobało się jej widziane z tej perspektywy; chciała wrócić na właściwy dla niej poziom, z którego, gdy wyjrzała przez okno, ludzie wyglądali na tak małych, że aż pozbawionych znaczenia.

Tymczasem od wielu godzin była unieruchomiona w tym miejscu, półnaga i we władaniu nieznanomych lekarzy, którzy poddali ją serii mniej lub bardziej inwazyjnych badań i zadawali coraz bardziej kłopotliwe pytania. Teraz, kiedy tortury i przesłuchania chyba dobiegły końca, jakaś lekarka zostawiła ją w tym

pokoiku, obiecując, że wkrótce wróci i udzieli jej odpowiedzi.

„Wkrótce” zamieniło się w czterdzieści pięć bardzo długich minut.

Serenie chciało się sikać, a co gorsza, nie miała ze sobą smartfona. Mógłby jej pomóc w ucieczce, ale zostawiła go w torbie w przebieralni razem z ubraniami. Nie poprosiła o zwrot telefonu po badaniu, bo nie spodziewała się, że oczekiwanie na wynik przedłuży się poza granice wytrzymałości. Żeby o tym nie myśleć, rozglądała się dookoła i patrzyła przez to przekłute okno, obserwując świat, do którego nie należała.

A powodem tego wszystkiego była cholerna niestrawność.

Ta, która zaczęła się dwa tygodnie temu, kiedy była na kolacji w gwiazdkowej etnicznej restauracji. W pewnym momencie musiała wstać od stołu i pobiec do łazienki, żeby zwymiotować cały talerz curanto. Przyrzekła sobie wtedy, że nigdy więcej nie zje tego samego dnia mięsa i owoców morza. Od tamtej chwili mdłości towarzyszyły jej codziennie, a do tego miała skurcze żołądka i zawroty głowy. Żywiła się suplementami, krakersami i sucharami. Czasem jednak żołądek nie przyjmował nic.

Kierowała strategicznym departamentem inwestycji wysokiego ryzyka i równie wysokiej dochodowości w jednym z banków inwestycyjnych i stała się nieprzystojnie bogata, podobnie jak jej klienci. W środowisku nazywano ją „blond rekinem”, budziła respekt i strach. A blond rekinie nie mogły sobie pozwolić na najmniejsze nawet niepowodzenie. Kończyło się właśnie pierwsze półrocze i Serena musiała zbudować nowy portfel papierów wartościowych i zrównoważyć budżet. Krótko mówiąc, był to jeden z najbardziej intensywnych okresów w roku, nie mogła więc popełnić błędu.

Z obawy, żeby nie powtórzyła się przykra sytuacja z restauracji, tak zorganizowała swoje obowiązki, żeby spotkania z klientami albo z zespołem współpracowników nie trwały dłużej niż pół godziny. Ale to nie wystarczyło. Już dwukrotnie odłożyła

podróż służbową do Frankfurtu i weekend na Formenterze, odwołała zajęcia z pilatesu i unikała codziennych dwugodzinnych treningów na siłowni. Przymusowa dieta, która absolutnie nie była jej potrzebna, zaczęła odbijać się negatywnie na muskulturze, szczególnie na mięśniach płaskiego brzucha. A kiedy próbowała przełknąć proteiny, organizm odrzucał je, jakby zażyła truciznę.

Na domiar złego albo wcale nie spała, albo rano nie mogła się dobudzić. Jej twarz była coraz bardziej wychudzona i żeby to zamaskować, używała niewyobrażalnej jak na nią ilości kosmetyków, ona, zawsze dumna z tego, że została obdarzona świetlistą cerą. Miała nieświeży oddech i zaczęły jej się łamać paznokcie. Jasne włosy straciły objętość i wypadało ich więcej niż zwykle.

Wyczuwając jakąś nieuleczalną chorobę, postanowiła zwrócić się w końcu do kogoś, kto mógłby odkryć źródło jej niedyspozycji. Nie miała żadnego planu działania, na wypadek gdyby diagnoza okazała się beznadziejna. Było to dziwne w przypadku kogoś, kto, jak ona, przywykł do tego, że ma wszystko pod kontrolą.

Nie miała rodziny, na którą mogłaby liczyć. Od dłuższego czasu jej stosunki z rodzicami były chłodne. Była jedynaczką, a matka i ojciec się rozwiedli. Potem oboje weszli w nowe związki, ale Serena nie nawiązała więzi z przybranym rodzeństwem. Właściwie nie utrzymywała z nikim kontaktów.

Jeśli chodzi o przyjaciół, to miała ich niewielki, wyselekcjonowany krąg. Kultywowali te związki, żeby dzielić się przyjemnymi doświadczeniami, bez konieczności angażowania się w niemłą stronę życia. Dlatego nie mogłaby winić przyjaciół, jeśli nie chcieliby zająć się nią w terminalnej chorobie. Niepisana umowa zakładała, że na ich miejscu ona też byłaby zwolniona z jakiegokolwiek moralnego obowiązku.

W tym momencie życia nie żałowała, że nie wyszła za mąż i nie ma dzieci. W wieku trzydziestu lat były to pomysły zupełnie

jej obce i na pewno nie zmieni się to, gdy będzie po pięćdziesiątce. Wiodła upragnioną, wymarzoną egzystencję, zaprogramowaną z rozumą i przekonaniem. Nawet jej nietuzinkowa uroda została wystudiowana w taki sposób, żeby nie była postrzegana przez innych jako niezasłużona przewaga. Hołdowała zawsze zasadzie umiaru. Ze swoim mózgiem i uporem nie musiała chodzić na skróty.

Ale teraz, z włosami zebranymi gumką w bezładny węzeł i rękami miętoszącymi od prawie godziny całkowicie już postrzępioną papierową chusteczkę, Serena odczuwała bezbrzeżną litość dla samej siebie. Litość i dyskomfort. Pęcherz prawie jej pękał i mimo że klimatyzatory w przychodni nastawiono na stałą temperaturę dwudziestu trzech stopni, było jej zimno.

Powtarzała sobie, że chodzi tylko o „przeklętą niestrawność”. O zatrucie pokarmowe, które może trwać tygodniami, zanim organizm zdoła się całkowicie oczyścić. Nie mogła jednak uwolnić się od tkwiącego gdzieś z tyłu głowy pytania, co tak naprawdę nosi w sobie jej pozornie doskonałe ciało. Czy chodzi o jakiegoś niepożądanego gościa o skomplikowanej nazwie znanej tylko lekarzom? Kiedy słyszysz ją po raz pierwszy, zdajesz sobie sprawę, że wkrótce stanie się czymś powszednim również dla ciebie. Jak przyszywany krewny, który działa ci na nerwy, ale musisz go znosić, mimo że nie jest z twojej krwi.

Serena próbowała odgonić złe myśli. Dlatego uporczywie patrzyła przez okno. Może powinna zazdrościć kobiecie uwijającej się w kuchni mieszkania po drugiej stronie podwórza. Ale nawet jeśli bardzo by się wysilała, nie byłaby w stanie zapragnąć, żeby zamienić się z nią miejscami.

Pieprzyć gospodynie domowe i matki rodzin. Pieprzyć żoneczki. Pieprzyć te, które zadowolają się jednym mężczyzną. Pieprzyć te, które się oddają, byle tylko czuć się pożądanymi. Pieprzyć te, które na tym poprzestają.

Kiedy tak przeklinała w duchu, a cisza stała się tak bardzo

przytłaczająca, że Serena nie mogła już znieść oczekiwania, drzwi się otworzyły i weszła lekarka, która nie zadała sobie trudu, żeby zapukać.

Podeszła do kozetki, przyciskając do piersi teczkę z wynikami badań. Wyjęła z niej pierwszą kartkę i podała Serenie.

Ta wzięła dokument z udawaną pewnością siebie, ale ręka lekko jej drżała. Przeczytała i zamarła ze zdumienia. Wszelkie przypuszczenia, wszelkie domysły okazały się błędne.

– Jesteście pewni? – zapytała z innym strachem w głosie.

Lekarka spojrzała na nią jak na kogoś, kto właśnie przeklął w kościele.

– Tak – potwierdziła zdziwiona, ale też w duchu rozbawiona.

Serena instynktownie położyła ręce na brzuchu, ale nie miała odwagi, by spojrzeć w stronę jego wyrzeźbionych mięśni, schowanych teraz pod śmiesznym fartuchem w kwiatki.

Lekarka poczuła się w obowiązku, by dodać drobny, wyjaśniający szczegół.

– Zdarza się czasem, że przed czwartym miesiącem nie pojawiają się wyraźne objawy.

2

Gdy Serena wracała do biura, patrząc przez okno taksówki na nieznane jej oblicze miasta, myślała o niedorzecznym dialogu z lekarką, który nastąpił po wiadomości o ciąży.

– Co więc możemy zrobić? – zapytała natychmiast, sugerując tym użyciem liczby mnogiej, że nie przyjmie odpowiedzi nie zawierającej propozycji rozwiązania problemu. W tonie jej głosu pobrzmiwała ukryta groźba, niemal jakby uważała, że lekarka odpowiada za to, co się dzieje, tylko dlatego, że ją o tym poinformowała.

Lekarka, która być może widziała panikę w jej oczach, uśmiechnęła się wyrozumiale.

– Zgodnie z prawem, jeśli nie istnieje konkretne zagrożenie dla zdrowia fizycznego lub psychicznego matki, przerwanie ciąży nie jest dopuszczalne po dziewięćdziesięciu dniach od zapłodnienia, co odpowiada dwunastu tygodniom i sześciu dniom.

– Dobrze, przed chwilą powiedziała pani, że nie jestem jeszcze w czwartym miesiącu – odparła z nadzieją Serena.

Uśmiech lekarki ustąpił miejsca zasmuconej minie.

– Przekroczyła pani okres dozwolony prawnie o parę tygodni.

Serena opuściła trochę szybę w taksówce i obliczyła, że właśnie parę tygodni zmagала się z niestrawnością. Istota, która pły-

wała w jej brzuchu, być może przeczuwała jej reakcję na wiadomość o ciąży, przycupnęła więc i siedziała cicho, dopóki prawny próg dopuszczający aborcję nie został przekroczony. Gdy była już bezpieczna, postanowiła ujawnić swoją obecność w sposób niszczycielski. Dobrze mnie zna, a także podstawy prawa, pomyślała Serena. Uznanie tego za zbieg okoliczności zadawałoby kłam jej przenikliwości. A to, że natychmiast po tym, jak poznała diagnozę, młodości ustąpiły, tylko potwierdzało jej teorię.

Plód nie musiał już dawać o sobie znać.

Serena zaśmiała się z rozbawieniem. Ale niemal natychmiast stłumiła chichot. Nie miała najmniejszego zamiaru oswajać się z myślą, że ma w brzuchu istotę ludzką.

O dziwo, nie zadała sobie jeszcze pytania, w jaki sposób ta istota tam trafiła.

Przede wszystkim: kiedy to się stało? Powinna była zapytać o to lekarkę, ale ogarnęła ją nagłą potrzeba, by zdjąć fartuch w kwiatki i pospiesznie opuścić przychodnię.

– Proszę iść do swojej ginekolożki, która dalej poprowadzi ciążę. – Taka była ostatnia wskazówka lekarki w momencie, gdy Serena przekraczała próg aseptycznego pokoiku w poszukiwaniu przebierałni.

Jej ginekolożka była ostatnią osobą, do której by się zwróciła, wzięwszy pod uwagę, że spirala, która powinna była ją chronić przed podobnymi kłopotami, nie zadziałała. Jakby tego było mało, progesteron w środku antykoncepcyjnym zatrzymał menstruację, pozbawiając ją cennego dzwonka ostrzegawczego.

Zaszła w ciążę na przełomie stycznia i lutego, pomyślała, rozwiązawszy samodzielnie zagadkę związaną z terminem. W tym momencie mogła też odpowiedzieć na drugie pytanie, które przyszło jej do głowy. Ustalenie, gdzie to się stało, było proste: na Bali, podczas tygodnia wakacji z czterema przyjaciółkami, spędzonego w Bulgari Resort. Podczas tych siedmiu dni nie odmawiały sobie niczego, kursując nieustannie między plażą,

imprezami w hotelu i w plenerze.

Po stwierdzeniu, gdzie i kiedy, należało jeszcze odpowiedzieć na pytanie: z kim. Ten dylemat był najtrudniejszy do rozwiązania. Serenie z trudem przychodziło myślenie o tym kimś jako o ojcu, bo to oznaczałoby określenie siebie jako matki.

Współodpowiedzialnym mógł być surfer z plaży Pandawa. Długie włosy, błękitne oczy. Jedynym jego strojem było zawiazane na biodrach pareo i naszyjnik z koralu. Szerokie ramiona i olśniewające mięśnie brzucha. Na prawej łydce wytatuowany smok.

Dostrzegła go przy wielkim ognisku o zachodzie słońca.

On też na nią patrzył. Przez jakiś czas pożerali się wzajemnie wzrokiem, a potem, gdy zespół gamelan zachęcał obecnych do tańca wokół ognia przy dźwiękach przepełnionej mistycyzmem muzyki, odłączyli się od małego plemienia i ruszyli wzdłuż wybrzeża, trzymając się w milczeniu za ręce. Kiedy uznali, że oddalili się wystarczająco od rytmu bębnow i ksylofonów, położył ją na piasku i pod osłoną gwiazdzistego nieba zdjął z niej białą lnianną sukienkę i rozwiązał swoje pareo. Serena pamiętała jeszcze ciepło jego opalonego ciała, smak soli na jego skórze pomieszany z zapachem lasu. Oddała mu inicjatywę, a on zrobił z nią to, na co miał ochotę. Kiedy poczuła się zaspokojona, wstała i wciąż bez słowa ruszyła sama w stronę ogniska.

Nie interesowało jej nawet jego imię.

Albo był to norweski blondynek w śmiesznej koszuli w wielkie, złote orchidee. Z nim było inaczej, bo przed seksem nawet trochę pogadali. Poznali się w barze przy zatoce Benoa. Przypomniała sobie, że podała mu fałszywe imię; on prawdopodobnie zrobił to samo, bo na początku wieczoru powiedział, że nazywa się Kevin, a potem stał się Karlem. Nie było powodu do szczerości, bo i tak oboje wiedzieli, że po tym jednym spotkaniu więcej się nie zobaczą.

Ta seksualna przygoda miała stać się pamiątką, która

mogłaby karmić fantazję i dawać pocieszenie podczas zimy życia.

Dla dostarczenia sobie alibi alkoholowego wypili arak z sokiem owocowym. On gadał coś o pracy informatyka i sprzedanym właśnie za kilka milionów start-upie. Ona udawała zainteresowanie, a kiedy poczuła się wystarczająco wyluzowana, ujęła jego dłoń i wsunęła sobie między nogi.

Znaleźli się w pokoju pobliskiego hotelu. Przez bambusowe rolety przenikały hałasy i uliczne światło. Pod sufitem obracały się leniwie łopaty wentylatora, mieszając gorące powietrze z zapachem przypraw i najróżniejszych potraw, a także spalinami przejeżdżających samochodów.

O świetle bez żalu się pożegnali.

Trzecim na jej balijskiej liście był pięćdziesięciolatek spotkany w przeddzień powrotu do Mediolanu. Mieszkał w tym samym kompleksie hotelowym. Był sam. Żadnej żony ani narzeczonej, żadnego przyjaciela. Eleganckie maniere i lekko orientalny wygląd. Powiedział, że ma na imię Neal – nic więcej. Był handlarzem kosztownościami i przyjechał tu, by dostarczyć wyjątkowy klejnot jakiemuś ważnemu klientowi. Potem postanowił zatrzymać się na krótki wypoczynek. Mówił bezbłędnie po angielsku, również po francusku, ale Serena nie była w stanie domyślić się jego pochodzenia. Poznali się w ciągu dnia, na plaży. Zajęli sąsiednie leżaki. Nie pamiętała, jak nawiązali rozmowę, tylko tyle, że niemal od razu zaczęli mówić o dziwnym przypadku: wśród personelu resortu powtarzały się te same imiona, niezależnie od płci. Neal wyjaśnił jej, że na Bali dzieci nazywa się zależnie od kolejności ich narodzin. Pierworodne miały na imię Wayan, drugie z rzędu Made, trzecie Nyoman, a czwarte Ketut. Jeśli jakaś rodzina miała więcej niż czworo dzieci, zaczynało od początku, dodając drugie imię: Balik, co oznaczało „następny”. Wayan Balik znaczyło więc „następny lub następna Wayan”. I tak dalej, w miarę potrzeby: Made Balik, Nyoman Balik lub Ketut Balik.

Serena poczuła się niezręcznie w roli typowej turystki, która wie mało albo nic o kulturze goszczącego ją kraju. Neal uwolnił ją natychmiast od zakłopotania, zmieniając temat na jej lektury; zabrała ze sobą na plażę powieści Martina Amisa i Oriany Fallaci i jak to miała w zwyczaju, sięgała raz po jedną, raz po drugą, zależnie od nastroju. Neala to rozbawiło. Spędzili razem całe popołudnie, dzieląc się zainteresowaniami literackimi czy upodobaniami muzycznymi. Podczas seksu był uważny i troskliwy, a to zalety raczej rzadkie wśród mężczyzn, z jakimi Serena dotąd się zetknęła. Pożegnał się jak prawdziwy dżentelmen. Dla uniknięcia zakłopotanych spojrzeń tego wieczoru nie pojawił się na wspólnej kolacji. Ale w dniu wyjazdu w recepcji przekazano jej książkę – Gillian Flynn – którą ktoś dla niej zostawił.

Teraz, zamknięta w taksówce stojącej w mediolańskich korytarzach, Serena zastanawiała się, czy wybór losu padł właśnie na niego. Czy to był jakiś znak, że zaraz po spotkaniu zaczęli od razu rozmawiać o imionach i dzieciach?

Najpiękniejsze w wakacjach jest to, że można je zostawić za sobą i planować następne. Serena podejrzewała jednak, że od tej chwili jej wyobrażenie urlopu zmieni się na zawsze. Następna podróż dla przyjemności będzie uwarunkowana wspomnieniem tamtego doświadczenia.

Jeszcze raz przeanalizowała profile trzech nieznajomych, którzy weszli do jej życia i opuścili je po jednym dobrym pieprzeniu. Jeden z nich nigdy się nie dowie, że jest ojcem tajnego gościa jej macicy. Będzie dalej żył bez żadnego przeczucia czy niepokoju, w błogosławionej niewiedzy. I pewnego dnia umrze bez najmniejszych nawet wyrzutów sumienia.

Gdyby miała zdecydować, któremu z tych trzech przyznać ten zaszczyt, nie potrafiłaby wybrać. Nie miałoby dla niej większego znaczenia, czy byłby to błękitnooki surfer, norweski blondynek czy Neal, dżentelmen o wschodnich rysach twarzy. Bo nie pragnęła, ani trochę, poznać pulsującej w jej łonie tajemnicy.

Mogłaby ją odkryć po wyglądzie noworodka, lecz postanowiła, że to się nie zdarzy.

Skoro ciąża była już w zbyt zaawansowanym stadium i jej przerwanie nie wchodziło w rachubę, Serena uczepiła się tego, co powiedziała lekarka.

– Gdy już dojdzie do rozwiązania, może pani oddać dziecko do adopcji. Na pewno nie będzie pani pierwsza, zdarza się to częściej, niż sobie pani wyobraża. Wszystko odbywa się całkowicie anonimowo. Opieka społeczna zabiera noworodka bezpośrednio z sali porodowej. Nawet nie musi pani go oglądać.

3

Od zawsze planowała każdy najmniejszy aspekt swojego życia i w taki sam sposób postanowiła podejść do ciąży. To pozwoli jej najskuteczniej uniknąć nieprzewidzianych okoliczności, a przede wszystkim zaangażowania emocjonalnego. By utrzymać dystans, musiała uznać, że to, co się jej przytrafiło, jest czymś w rodzaju operacji, którą należy doprowadzić do końca.

Dwadzieścia pięć tygodni. Musiała wytrzymać tylko dwadzieścia pięć tygodni. Potem wszystko rozwiąże się samo.

Żeby zachować pozytywne nastawienie aż do zakończenia całej sprawy, natychmiast pomyślała o tym, co będzie potem. Po przeprowadzeniu adopcji, by nagrodzić się za zaangażowanie, ucieknie sama na jakąś zagubioną wysepkę i pozwoli pieścić się promieniom słońca. A po powrocie odnowi całkowicie wygląd swojego mieszkania, wydając zawstydzające kwoty w dizajnerskich salonach z wyposażeniem wnętrz.

Po ustaleniu nagrody pomyślała o reszcie.

Wybrała dyskretnego i wyrozumiałego ginekologa, który miał ją prowadzić przez cały okres ciąży aż do rozwiązania, przewidzianego na listopad. Zamierzała dostosować dietę i nawyki do wskazówek lekarza i skrupulatnie przestrzegać jego zaleceń. Nie opuści żadnej wizyty i będzie się poddawać wszystkim rutynowym badaniom. Zachowując się jak wzorowa brzemienna kobieta, wywiąże się ze swoich powinności wobec noworodka.

Potem nie będzie już miała wobec niego albo niej żadnych obowiązków.

Nie chciała, by ktokolwiek – ani znajomi, ani współpracownicy – wiedział o jej ciąży, zmieni więc styl i znacznie nosić szersze ubrania, żeby zasłonić nieuchronne krągłości. A przez ostatnie miesiące, gdy ten tymczasowy środek zaradczy przestanie działać, postara się unikać przyjaciół i będzie się przemieszczać między zagranicznymi filiami banku. Przed tamtejszymi kolegami nie będzie musiała się tłumaczyć ze swojego brzucha. A potem wróci do Mediolanu parę tygodni przed rozwiązaniem.

Na ten termin zarezerwowała już miejsce w prywatnej klinice. Jednoosobowy pokój ze wszystkimi wygodami.

Dla uniknięcia w przyszłości takich „wypadków” zamówiła już obustronną salpingotomię. Podwiązanie obu jajowodów uniemożliwi zapłodnienie. Nie była to bolesna decyzja. Przeciwnie, to, co Serena przeżywała teraz, wzmacniało jej przekonanie. Miała świadomość, że wiele kobiet skrytykowałoby jej wybór, ale prawdę mówiąc, nic jej to nie obchodziło. Mimo to postanowiła zachować wszystko w tajemnicy.

W ciągu kolejnych tygodni podczas okresowych ultrasonografii nigdy nie obserwowała rozwoju płodu na monitorze, wołała odwracać głowę. Nie chciała słuchać bicia serca i nigdy nie zapytała o płeć dziecka.

W miarę jak ta istota w niej rosła, nie zmieniała zdania.

Nie mogąc kontrolować hormonów, obawiała się, że skoki i zmiany nastroju wywołają u niej chwiejność. Tylko raz przeżyła coś w rodzaju załamania, ale nie wpłynęło ono na to, że nagle pojawił się u niej instynkt macierzyński.

Zdarzyło się to na początku, na siłowni, w wieczór jak każdy inny.

Za poradą lekarską drastycznie ograniczyła aktywność fizyczną, żeby nie zaszkodzić zdrowiu płodu. Było to wielkie wyrzeczenie, bo jej organizm był uzależniony od endorfin i

serotoniny, wyzwalanych podczas intensywnego treningu. Potrzebował tego jej mózg, żeby czuła się zawsze skuteczna i rzutka w pracy. W środowisku Sereny wiele osób sięgało po narkotyki, zwłaszcza po kokainę. Natomiast tacy jak ona uzyskiwali ten sam efekt poprzez wysiłek fizyczny i zmęczenie. Nie było łatwo wyzwolić się z takich przyzwyczajień, ale dobrze jej to szło.

Poza tym jednym fatalnym dniem.

Około dwudziestej trzeciej siłownia opustoszała i Serena została sama. Trenowała właśnie w głębi rzędu bieżni, naprzeciw wielkiej szyby wychodzącej na nocną panoramę miasta. Rytm biegu był stały, bez forsowania, jak jej zalecono. W tyle rozbrzmiewała muzyka klasyczna. Serena miała na sobie szorty i czarną bluzę. Związała włosy, na szyi przewiesiła biały ręcznik i od czasu do czasu ocierała nim kropelki potu z twarzy i czoła.

Wyświetlacz wskazywał, że zostało jeszcze parę minut do czasu, który sobie wyznaczyła, ale pokonała już osiem kilometrów. Uznała, że to wystarczy. Wyciągnęła rękę, żeby zatrzymać bieżnię, ale pomyliła przycisk i przyspieszyła tempo. Owładnął ją niespodziewany impuls. Zamiast poprawić błąd, wydłużyła krok. Jednocześnie cały czas trzymała rękę opartą o ekran dotykowy.

Po chwili jeszcze raz zwiększyła prędkość. Raz, drugi, trzeci. Aż zaczęła czuć pulsowanie w łydkach, jak wtedy, kiedy przekraczanie tej granicy było dla niej normalnością. Jej mięśnie drżały, pot spływał po twarzy i plecach. Miała ochotę pozbyć się cholernej bluzy. Wyszczерzyła z wściekłością zęby, podejmując się rozpaczliwie szalonego wyzwania polegającego na pokonaniu własnych ograniczeń. Nie wiedziała, co w nią wstąpiło. A może dobrze wiedziała. W głębi duszy pragnęła, żeby to dziecko zmęczyło się przebywaniem w jej wnętrzu i uwolniło ją od swojej obecności.

Skończmy z tym. Tutaj, teraz.

Absurdalną próbę wypłoszenia dziecka z łona przerwał na-

gły, przeszywający ból w dole brzucha, który zgiał ją wpół i zmusił do błyskawicznego naciśnięcia blokady awaryjnej. Bieżnia zatrzymała się; kolana pod Sereną się ugięły, a ból odebrał jej oddech. Ledwie zdołała jedną ręką uchwycić się poręczy, podczas gdy drugą trzymała się za brzuch. Skurcz nie mijał i był tak gwałtowny, że nie była w stanie otworzyć oczu. Myślała, że zaraz umrze. Po czym wrażenie to minęło równie niespodziewanie, jak się pojawiło, nie pozostawiając po sobie śladu. A ona znów poczuła się dobrze, jakby nic się nie stało. Lecz w głowie usłyszała wyraźną groźbę.

Tak łatwo się mnie nie pozbędziesz. A jakby co, to pójdziemy na dno razem. Od tamtej chwili Serena nie czuła więcej pokusy, by powtórzyć eksperyment.

Przeczytała gdzieś, że ciężarnym kobietom zdarza się coś magicznego między czternastym a dwudziestym tygodniem, kiedy zaczynają czuć pierwsze ruchy płodu. Uznała, że może to być dla niej najtrudniejszy moment. Choć nadal niewzruszona w swoich przekonaniach i pewna, że nie ma żadnych ciągłot do macierzyństwa, nie mogła wiedzieć, jak zareaguje wobec czegoś, czego nigdy wcześniej nie doświadczyła, a co u innych brzemennych kobiet wywoływało wstrząs.

Do tej pory nie była w pełni świadoma, że dokądkolwiek pójdzie czy cokolwiek zrobi, ta istota zawsze z nią będzie.

Ta obecność ujawniła się pewnego popołudnia na schodkach do samolotu odlatującego do Nowego Jorku. Było to coś prawie nieodczuwalnego, coś, co można było pomylić z normalną reakcją żołądka. A jednak Serena nabrała przekonania, że chodzi o coś innego. Gdyby trwało to sekundę krócej, ogarnęłaby ją wątpliwość. A przecież chodziło o coś jednoznacznego.

Ten ruch nie pochodził od niej. Wywołał go ktoś inny, w niej.

Od tej chwili zdarzało się to coraz częściej, nie wywoływało jednak żadnego zamętu emocjonalnego, który skłaniałby ją

do zmiany planów. Nie wpłynęło też na Serenę pojawienie się pierwszych kopniaków precyzyjnie wymierzanych w różne narządy wewnętrzne. Było to do wytrzymania. Poza nocami, kiedy wewnętrzne wstrząsy nie pozwalały jej spokojnie spać.

Ale również ten problem został z powodzeniem rozwiązany.

Popychając alejkami supermarketu wózek wypełniony po brzegi zdrową żywnością, zatrzymała się nagle przed słoikiem z nutellą. Każdego wieczoru przed położeniem się do łóżka pochłaniała trzy łyżeczki tej brązowej mazi i odkryła, że w ten sposób może uspokoić swojego ruchliwego gościa.

Poza tym wszystko miało się ku lepszemu, a ona szybko zbliżała się do porodu, który miał rozwiązać jej kłopoty.

Była coraz bardziej przekonana do pomysłu, żeby ktoś inny wychował dziecko, i przy każdej okazji wskazywała sobie pozytywne aspekty tej decyzji. Na przykład przyszłe konsekwencje wychowywania syna albo córki. Oszczędzi sobie zamętu związanego z dorastaniem albo wyborem ścieżki edukacyjnej. Z pierwszymi miłościami, porywami, rozczarowaniami. A w najbliższej przyszłości nie będzie musiała się przejmować przygotowaniem wyprawki, kupowaniem kołyski i wózka albo urządzaniem pokoiku. Żadnego karmienia piersią czy butelką w środku nocy. Żadnych pediatrów, kolek i pierwszych ząbków. Żadnego ulewania ani homogenizowanych słoiczków. Żadnych pieluch.

Pierwsze niemowlęce śpioszki zapewni prywatna klinika, co obejmowała opłacona przez nią usługa.

I nie musiała wybierać imienia. Zadanie to przypadnie w udziale – wraz z innymi obowiązkami – rodzinie adopcyjnej.

Serena miała nigdy nie poznać ich tożsamości. Miała ich nigdy nie zobaczyć. Chyba że kiedyś w przyszłości, przypadkowo. Ale nie będzie w stanie ich rozpoznać. Tak samo byłoby z dzieckiem, gdyby kiedykolwiek spotkała ją albo jego. Była tego pewna.

Zew krwi to wymówka dobra dla romantyków. W realnym

życiu nie miał racji bytu. Słyszała, że ponad czterdzieści procent ludzi nie wie, że nie jest dzieckiem własnego ojca. A ponieważ sama nie czuła żadnego związku z rodziną, z którą rozstała się wiele lat wcześniej, może płód, który nosiła w łonie, też odziedziczył szczęśliwy gen. Ten, który teraz pozwalał jej z taką łatwością osiągnąć zamierzony cel.

Rozstać się na zawsze z nią albo z nim.

Ta myśl powinna ją w jakiś sposób ranić. Na przykład, gdy miała dwanaście lat, dostała w prezencie królika angorę. W tamtym czasie mieszkała z matką i ojczymem. Po trzech dniach byli zmuszeni pozbyć się zwierzaka z powodu nieprzewidzianej alergii jednego z przyrodnich braci Sereny. Wtedy doświadczyła nieznanego bólu, niemal nie do wytrzymania. Miała go wciąż wyraźnie w pamięci i obawiała się, że po porodzie poczuje takie samo cierpienie. Porównanie było ryzykowne, ale strach bardziej niż uzasadniony. Im bardziej jednak zbliżała się wyznaczona data, tym bardziej niepokój słabł, czemu pomagało przekonanie, że Serena nie ma zbyt wiele do zaoferowania tej istocie, jeśli chodzi o matczyne odruchy czy zwykłą empatię.

Pewna, że się nie rozmyśli i że podjęła najlepszą decyzję dla przyszłości mającego się narodzić dziecka, Serena wróciła z ostatniej zagranicznej podróży roboczej dwa tygodnie przed pójściem do kliniki, tak jak zaplanowała.

Po przyjeździe do domu z lotniska późnym wieczorem przygotowała sobie ziołowy napar i wypiła go na stojąco, w mroku i spokoju kuchni. Wzięła prysznic i zaraz potem zamierzała się położyć. Odkąd jej brzuch nabrał ogromnych rozmiarów, przestała przeglądać się w lustrze. Ograniczała się do pobieżnego zerknięcia, by sprawdzić, czy bezlitosne odbicie oddaje w miarę przyzwoity wygląd.

W każdym razie dni zaniedbania zbliżały się do końca i zaraz potem pojawi się na nowo dawna Serena. A wraz z nią miały wrócić szpilki, ubrania we właściwym rozmiarze, alkohol, sushi,

ostrygi i surowa szynka.

Lecz tej nocy wytrwale realizowany plan miał ulec gwałtownej zmianie. Około trzeciej Serenę obudził nagły niepokój. Oszołomiona, zaczęła krążyć po mieszkaniu. Podpierała się o ściany, żeby nie stracić równowagi.

Mimo zamętu w głowie wyczuła powagę tego, co się z nią działo.

Wzięła telefon, żeby wezwać pomoc, ale nie była pewna, czy zdoła coś powiedzieć. Resztką świadomości przywiodła jej na myśl sznurki alarmowe znajdujące się we wszystkich łazienkach w domu. Pociągając za jeden z nich, uruchomiłaby sygnał w portierni luksusowego wieżowca i ktoś przybyłby z pomocą. Przynajmniej tak zapewniał folder prestiżowej agencji nieruchomości, która sprzedała jej mieszkanie.

Najbliższy sznurek znajdował się w małej łazience, którą jej sprzątaczką przeznaczyła na schowek.

Wchodząc tam, Serena zapaliła światło nad lustrem. Namierzyła linkę wiszącą w nigdy nieużywanej kabinie prysznicowej i przesunęła się w jej kierunku. Poruszając się niezdarne w ciasnej przestrzeni, potknęła się o sznur od odkurzacza i zrzuciła z półek kilka pojemników ze środkami czystości. Przekląła sprzątaczkę Admetę, ale się nie poddała. Wyciągnęła rękę, żeby chwycić czerwoną kuleczkę na końcu linki. Miała wrażenie, że jej dotyka, ale nie była całkiem pewna, bo otaczający ją mały świat zawałił się przed jej oczami. Albo raczej to ona zachwiała się i runęła na posadzkę.

Pociągnęłam? – zastanawiała się, dręczona przerażającą wątpliwością.

Policzek i kość jarzmową miała przyciśnięte do zimnych płytek, gdy siły szybko ją opuszczały; zanim straciła przytomność, jej wzrok padł na niebieskie opakowanie płynnego środka czyszczącego, który, podobnie jak ona, upadł na podłogę.

Odczytała etykietę: *Wóń Aurory*.

Jaki miałby to być zapach? Zastanawiała się, co jest bardziej bezsensowne: nazwa nadana przez jakiegoś eksperta od marketingu płynowi o oczywistym pochodzeniu chemicznym czy jej pytanie w takim momencie?

A zaraz potem stało się tak, jakby ktoś zgasił światło.

Ciemność była tak wyraźna, że kiedy Serena otworzyła oczy, zdawało jej się, że minęło ledwie kilka sekund.

Śpiączka, w którą zapadła, ulotniła się. Spodziewała się znów zobaczyć przed sobą niebieską butelkę z płynem o zapachu Aurory, tymczasem znajdowała się w pokoju reanimacyjnym.

Pomyślała, że zdołała jednak pociągnąć za linkę alarmową. W innym wypadku jej obecność tutaj byłaby niezrozumiała.

Wkrótce przyszła do niej pielęgniarka, a potem lekarz. Oboje uspokajali ją, mówili, że miała wielkie szczęście, że wróci do zdrowia i że wkrótce ją wypiszą.

Z ich słów zrozumiała, że minęły trzy tygodnie.

W tym czasie zdarzyło się wiele rzeczy. Chirurdzy zatrzymali krwotok maciczny, ratując jej życie. Zamiast do prywatnej kliniki trafiła do wielkiego szpitala, gdzie nikt nie miał pojęcia o jej zamiarze oddania do adopcji noworodka, którego miała urodzić.

Pokazali jej jakieś brzydactwo, które według nich miało być dziewczynką, a ponieważ nie wiedzieli, jak ją nazwać, zapytali, jakie imię dla niej wybrała. Serena nie miała siły odpowiedzieć ani cokolwiek wyjaśnić i pomyślała, żeby powtórzyć pierwszą rzecz, jaka przyszła jej do głowy.

„Zapach Aurory” brzmiał nieco ryzykownie jako imię.

– Aurora – powiedziała.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).